

Być albo nie być na toruńskiej scenie

Spektakl, który zaczyna się od dzwonów. Od 25 października toruńska widownia może podziwiać szekspirowskie dzieło na deskach teatru Horzycy.

Na scenie: Ofelia, księżę Hamlet, jego matka królowa Gertruda, nowy mąż królowej Klaudiusz i chór. Doszło do zbrodni, ojciec Hamleta nie żyje, a księżę próbuje rozwikłać całą sytuację. Toruński Hamlet to inteligentny i stanowczy mężczyzna, który pragnie jedynie dotrzeć do prawdy, nie chce dramatyzować ani być pseudobohaterem.

Forma przedstawienia została doskonale usytuowana w toruńskiej przestrzeni. Takie smaczki jak fajerwerki przy teatrze czy dzwony z wieży kościołów na starówce, które słychać na widowni, idealnie wpasowują tę październikową premierę w hasło teatralnego sezonu: „Tu w Toruniu”.

Hamlet w reżyserii Pawła Paszty to klasyczny, a zarazem nowatorski spektakl. Powrót do formy teatru elżbietańskiego, gdzie aktorzy grają na cztery strony, stał się czymś nowym dla toruńskiego widza. Po premierze słychać było głosy z widowni zachwycające się pomysłem na realizację Hamleta. Niestety, trudno mi wypowiedzieć słowa aprobaty, kiedy nie chodzi o formę, lecz o treść.

Treść, mimo że nie została drastycznie zmodyfikowana, moim zdaniem nie wyczerpała wszystkich dostępnych środków przekazu. To kolejne potwierdzenie sentencji „Forma nie zbawia”. Jako widz momentami czułem się zmieszany i zagubiony. Oprócz tego mało czytelna była dla mnie ciągłość akcji, co – jak podejrzewam – było skutkiem niezbyt udanej próby wpasowania spektaklu w przyzwoite ramy czasowe. Spektaklowi jako całości brakowało spójności i logiki.

Siedząc na widowni, oglądałem „gołego” Hamleta. Zabiegi minimalizmu w dramaturgii, scenografii oraz grze aktorskiej były jak najbardziej słuszne. Rozmyto granice instytucji teatru. Widz nie jest już odrębnym elementem, wykluczonym z misterium na scenie, lecz tworzy spektakl na równi z aktorami i reżyserem. Wreszcie oglądam w teatrze losy zwyczajnych ludzi, a nie osobników nazywających się aktorami. To według mnie jest największym atutem, a jednocześnie minusem tego przedstawienia.

Scenografia odgrywała w spektaklu jedną z głównych ról. „Mobilna” jest chyba tym słowem, które najlepiej ją charakteryzuje. Kilka pianin, niesamowite światła i faktury. Tym razem scena stała się widownią, widownia sceną, pianino trumną, trumna tronem, tron – narzędziem zbrodni. Taki uniwersalizm obiektów scenografii daje szerokie pole do interpretacji i nie ściąga uwagi widza na siebie. Jednocześnie scenografia to element, bez którego nie wyobrażam sobie tego spektaklu. Jednym z rodzynek tego przedstawienia były odsłonięte okna na scenie oraz mnogość światel, które załamywały się w płótnach połyskującej blachy na ścianach. Wszystko to emanowało na tle czerni i złota.

Złoto zdarzyło się znaleźć nie tylko w scenografii i kostiumach, ale i w kreacjach niektórych postaci. Przede wszystkim warto wyróżnić aktorów chóru. Te na pierwszy rzut oka drugoplanowe postacie odegrały niesamowitą paletę emocji odmalowanych na twarzy i w ruchu. Warto też wspomnieć o **Julii Sobiesiak** w roli Gertrudy. Gertruda to postać niesamowicie złożona i ambiwalentna. Tak skrojona matka Hamleta wnosi do spektaklu bardzo aktualne wątki feministyczne. **Łukasz Ignasiński**, który wcielił się w postacie Poloniusza i Laertes, doskonale poradził sobie z lekkim, komicznym przerysowaniem postaci ojca Ofelii oraz późniejszą metamorfozą w jej brata. Wibracje emocjonalne tworzone przez te kreacje aktorskie z pewnością dotarły do mojego wnętrza i uruchomiły mechanizm katharsis. Nie rozumiem natomiast, czemu miał służyć zabieg niedopasowania wieku aktorów do wykonywanych ról. Mocno zmieniło to moją percepcję spektaklu i stało się kolejną przeszkodą w skupieniu się na tym, co dzieje się na scenie.

Podsumowując, po „Hamlecie” pozostał mi kwaśno-słodki posmak. Z jednej strony nie ukrywam zachwyty wizualną stroną spektaklu. Nie należy on jednak do tych, które łatwo się ogląda. Przedstawienie wymaga od widza przygotowania i wdrożenia się w szczegóły samemu jeszcze przed oglądaniem. Mnie ten trend na „ambitnego widza” – ostatnio szybko zdobywający popularność w różnych instytucjach kulturalnych – coraz bardziej przeraża.

Olek Dudziak

Radio Sfera

04.11.2018